

# UKRYTY W SŁOŃCU



IRENEUSZ IREDYŃSKI

Ireneusz Iredyński

# UKRYTY W SŁOŃCU

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-63-7

Copyright © Ireneusz Iredyński

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1973 (cz. 2)

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Czekałem na nią przed sklepem z serami; stałem w silnym, popołudniowym słońcu, czując, jak na czole zbiera mi się pot, zimne i ciężkie niby rtęć kropelki. Tu, pod murami domów, gdzie rozgrzane płyty chodnika i rozżarzone tynki sprawiały, iż powietrze było rzadkie (brak powiewu spotykanego niekiedy na szerokich ulicach), trudno było oddychać i jak zawsze w takich wypadkach starałem się wciągać powietrze rytmicznie a spokojnie, i jak zawsze mi się to nie udawało; myśląc o oddychaniu chwytalem powietrze otwartymi ustami; wielkie hausty, małe, potem zadyszka; wreszcie kropla potu potoczyła mi się po nosie i wycierając twarz zapomniałem o udrękach wciągania rozrzedzonego powietrza o smaku spalin i kurzu.

Ze sklepu wychodziły przeważnie kobiety (zauważyłem też dwóch mężczyzn o twarzach standardowych urzędników; takie twarze wymyślają schematyczni karykaturzyści) niosąc higienicznie wyglądające paczki (biały, twardo szeleszczący przy zginaniu papier), przechodziły obok mnie, kierując się do niedalekiego przystanku tramwajowego. A ja stałem w słońcu z poczerwieniałą twarzą, z kroplami potu na czole i nosie, potu, który wydawał mi się zimny i ciężki, gdy te kobiety za chwilę znajdą się w cienistych i pustych o tej porze (w biurach i fabrykach praca kończy się za godzinę) tramwajach; przeszły dwie blondynki, jedna z nich śmiała się, zauważyłem, że ma popsute zęby i szeroką, niemodną obrączkę na palcu.

Spojrzałem na zegarek; trzy minuty po trzeciej. Na mej dłoni weszły błękitne żyły, pory w jasnym świetle słońca, stwarzającym niebieskawy odcień, zdawały się być rozszerzone, przez co skóra upodobiła się do drobniutkiego sita. Przejechała z hałasem samochodowa cysterna z napisem: cement luzem. Podniosłem dłoń do warg, by zetrzeć zbierający się pod nosem pot, wywoływał swędzenie. Cysterna zniknęła za zakrętem i wtedy zobaczyłem znowu tego człowieka, stał w tej samej pozie (twarz przytknięta do szyby księgarni) co przedtem, nim go na kilka sekund zasłonił popielato lakierowany wóz z napisem: cement luzem. Ubrany w szary garnitur (w taki upał!) wodził twarzą tuż przy samej szybie, jakby był krótkowidzem, ten ruch kojarzył mi się z obwąchiwaniem czegoś przez psa (tak samo zgięty grzbiet) z tym, że był bardziej metodyczny i rzekłbym: uparty.

Stojąc w tym rozrzedzonym powietrzu, patrząc na człowieka w szarym garniturze i z powodu zbyt wielkiej odległości niezbyt dokładnie odróżniając rysy, widziałem go i nie widziałem, stawał się kimś innym, demonizował się we mnie, był symbolem, a właściwie syntezą tych wszystkich mężczyzn w szarych garniturach i twarzach, których się nie zapamiętuje (wynik pomieszania i zrównania socjalnego; średniowiecze było od tego wolne, tak mi się przynajmniej wydaje, feeria barw — cóż za banały nasuwają się przy wspomnianiu odległych epok — ta bufiastość rękawów i obcisłość kolorowa pludrów, indywidualność zapamiętywana herbami, tymi znakami mnemotechnicznymi osobowości) i teraz te twarze stały się jedną twarzą, i te sylwetki w szarych, flanelowych garniturach stały się jedną sylwetką, przesuwającą się przed czystą taflą chroniącą przed kurzem i plwocinami (książki o podobnych, kolorowych i błyszczących okładkach, które to okładki spełniają tę samą broniącą czynność w stosunku do książek, co szare ubrania do ludzi), i nie patrzyłem już na człowieka przesuwającego swoją twarz tuż przy szybie księgarni, a jednak go widziałem patrząc na inne przedmioty, szare ubrania i pusty owal twarzy, bez oczu, nosa, ust.

Po raz *n*-ty otarłem twarz z potu; pocenie wydało mi się teraz czymś naturalnym, upał, przez który powietrze było rozrzedzone, sprawił, iż spotęgowana praca gruczołów potowych nie kojarzyła się z biologią, z mięsem, z zaczerwienioną skórą, że nie starałem sobie uplastyczyć widzianych kiedyś hal rzeźni miejskiej (co zawsze czyniłem wiedząc, że się zanadto pocę), po prostu krople spływające mi po twarzy przestały być zimne i ciężkie (co za przemiana w przeciągu minuty!), a stały się czymś w rodzaju tęczowej poświaty (światło

słoneczne załamywało się na mych rzęsach, oczy miałem przymrużone), stały się warstewką ciepła nałożonego na moją twarz; być może była to sprawa uświadomienia sobie dystansu pomiędzy mną, pocącym się, o ostrym zapachu na dłoniach i pod pachami, a stojącym o kilkadziesiąt metrów ode mnie mężczyzną w szarym ubraniu, podobnym do pomnika przysypanego kurzem, konwencjonalnego zarówno w upale, jak i szklistym powietrzu zimy.

Przedemną stanęła dziewczynka, mogła mieć siedem, osiem lat, na chudziutkich nóżkach pękaty tułów, przez chwilę wpatrywała się w moją twarz oczami podobnymi do pestek śliwek, a potem zasłaniając brudną małą dłońią oczy przed słońcem zaczęła rozmowę. Taki dialog: Która godzina, proszę pana? Cztery minuty po trzeciej. Czy aby na pewno? Mój zegarek dobrze chodzi. Dziękuję panu i szczęśliwej drogi.

Odeszła o parę kroków, wyciągnęła z kieszeni kredę i zaczęła coś rysować na płytach chodnika. Uśmiechnęła się, przeżywałem tę rzadką chwilę podwójnej świadomości, gdy wiedziałem, że należy się uśmiechnąć, że moje wargi rozciągają się, a jednocześnie nie było u mnie „ciemnego instynktu śmiechu” nie pozwalającego na autoanalizę, śmiechu zaborczego, tak samo gwałtownego, jak czasem gwałtowną bywa pieszczota; zdawało mi się, że w tej chwili patrzę na kogoś uśmiechającego się, kto stoi obok mnie. Uśmiechałem się z archaicznego wyrażenia tego brudnego grubaska (a jednak był w niej wdzięk; nie jest prawdą powszechna opinia, że każde dziecko jest urocze. Są nimi jedynie dzieci brzydkie; piękne, małe lalki w przeciwieństwie do pięknych dorosłych nie wzbudzają żywszych uczuć, patrzę na nie jak na wytwory dobrej firmy zabawkarskiej lub kosmetycznej, krzywda im uczyniona nie sprawia wrażenia, jest podobna do zwicnięcia nogi celuloidowej panience lub do zmydlenia lazurowego misia), z tego „czy aby na pewno” i w gruncie rzeczy normalnego życzenia (nie odczułem tu surrealistycznego zestawu): szczęśliwej drogi. Tak, przeżyłem chwilę podwójnej świadomości i kiedy przestałem się uśmiechać, spostrzegłem (wiedziałem o tym przez cały ten czas), że mężczyzna w szarym ubraniu stoi przed kioskiem i czyta gazetę; po czerwonej plamie tytułu poznałem, że jest to popularna popołudniówka.

„Proszę pana.” „Tak?” „Niech pan (mężczyzna przewrócił stronę) popatrzy.” Mała wzięła mnie za rękę i przeszliśmy w ten sposób około pięciu metrów; jej dłoń była gorąca i wilgotna, lecz była to dla mnie wilgoć przyjemna. Stanęliśmy nad rysunkiem. Na chodniku był narysowany człowiek: koło-głowa z kreską nosa, kropkami oczu i kreską ust, cienka szyja, tułów w kształcie jajka i patyki kończyn, ręce tego stwora rozłożone były w geście rozpaczy lub zdziwienia. Taki dialog: „Ładne.” „To pan.” „Aha...”

Mała nagle zaczęła ścierać rysunek czubkiem płóciennego pantofelka; chciałem coś do niej powiedzieć, ale nie zwracała na mnie uwagi. Odszedłem na dawniejsze miejsce, przed sklep z serami.

Pod stopą dziewczynki nikła śmieszna figura, pozostały jedynie ręce patykowate, wyrażające coś przejmującego (mała nie dosięgła jeszcze stopą będących w dużym rozstawie kredowych kończyn) i nagle zrobiło mi się niedobrze, jakby ten śmieszny grubasek naprawdę mnie niszczył, wycierał, jakby to były naprawdę moje ręce wyciągnięte w aktorskim, sugestywnym geście, ruchu ostatnim i ostatecznym. Krople potu stały się na powrót zimne i ciężkie, tak, to na pewno przez to, że stałem w słońcu, zrobiło mi się niedobrze (mężczyzna w szarym garniturze schronił się — prawdopodobnie przed skwarem — do bramy), nie mogę przecież uwierzyć, że czynność małej jest tego przyczyną. Oparłem się o mur tuż obok wejścia do sklepu.

Nade mną odezwał się głośnik; najpierw kilka charkotów, a potem niski głos kobiecy śpiewał włoską piosenkę; miękkie sylaby jednoczyły się w biologiczny lament, wyobraziłem sobie szyję pieśniarki z rozdętymi arteriami, wzdymającą się i białą, teraz to był już krzyk, rozedrgane samogłoski; przypomniałem sobie stado oszalałych ptaków uciekające na próżno przed jastrzębiem, ucisk w dołku spotęgował się, zaczęto nadawać jazz, przełknąłem kilka razy ślinę; pomogło.

Ze sklepu wyszła dziewczyna z chłopcem; trzymali się za ręce, chłopiec był wpatrzony w twarz dziewczyny, jego uśmiech, pochylenie głowy, świadczyły (według przyjętych kanonów) o nieprzytomnym zakochaniu, przystanęli na chwilę, zatupali rytmicznie nogami w takt muzyki z głośnika i poszli dalej. Patrząc na małą, która znowu coś rysowała (mężczyzna w szarym ubraniu wyszedł na chwilę z bramy, rozejrzał się i wrócił), myślałem o chwili, gdy ten chłopiec, patrząc obecnie z takim oddaniem i zaborczością na swoją dziewczynę (przypominałem sobie wyraziście ich rytmiczne przytupywanie), będzie kiedyś równie rytmicznie skręcał się na posłaniu, sam pośród nocy, sam mimo śpiącej obok dziewczyny, nie mając sił, by odejść od ciała, które nie wzbudza już żądz, a do którego jest się tak przyzwyczajonym; albo gdy równie rytmicznie będzie skandował „wszystkie kurwy, kurwy, kurwy”, albo będzie jeszcze inaczej przeżywał te dni przed rozstaniem, kiedy się jest męczennikiem, lecz nie heroicznym, a raczej z brakiem „charakteru”.

Oparty o rozgrzany mur chciałem uchwycić tę jedną chwilę, która jest skrótem życia, nie, całym życiem, chciałem koniecznie uwierzyć w mit tworzony przez ludzi tak samo jak ja wstrząsających się na myśl o umieraniu, oszukujących samych siebie twierdzeniem, że jest chwila, gdy jednoczymy się z przyrodą, z całym światem w jedną całość i to w pełni tego świadomości. Nienawidziłem tego chłopca za to, że przeżywa coś, co się musi zakończyć, i dopiero po chwili zorientowałem się, że jest to mój lęk przed śmiercią, wywołany przypadkowymi mdłościami i nic nie znaczącym faktem, że dziecko zmasało butem mój nieudolny, a jednak prawdziwy w swej anonimowości konterfekt. To uświadomienie ośwładnęło mną wraz ze zmęczeniem; zdawało mi się, że wygrzebuje się z ciemnej jamy, która otwiera się niekiedy w chwili tego, co buduarowo nazywa się rozkoszą, takie to właśnie było zmęczenie, zupełnie jak po chwili, o której marzą odważni i tchórzliwi (nie ma takiego podziału, jest funkcja wytyczona przez miejsce i czas) zapominając, że świadomość jest wtedy automatycznie wyłączona.

„Która godzina, proszę pana? Sześć po trzeciej. Czy aby to prawda? Na pewno. Dziękuję, niech pan idzie z Bogiem.”

Czekałem już sześć minut; przyszedłem punktualnie o trzeciej, przedtem sprawdzałem dokładność mego zegarka przy wystawie zegarmistrza oraz u kilku przechodniów. Czekałem na nią sześć minut stojąc w słońcu przed sklepem z serami, stałym miejscem naszych spotkań i teraz zachowywałem się tak, jak ma się zachowywać mężczyzna czekający na spóźniającą się kobietę (nerwowe ruchy głową, spoglądanie na zegarek, potem nagły bezruch i zapatrzenie), a mała dziewczynka przycupnęła o kilka metrów ode mnie wyciągając na chodniku kredowe linie ruchami pewnymi jak rutynowany malarz, który stworzył wiele swoich światów i ma pewność demiurga powielającego swoje poprzednie dzieła.

Mężczyzna w szarym ubraniu stał teraz przed sklepem spożywczym (idąc kiedyś wieczorem obok tego sklepu zobaczyłem dwoje młodych ludzi, prawie dzieci, chłopiec zapytał dziewczynę, czyby zjadła sardynki, dużo sardynek, dziewczyna odpowiedziała: nie lubię sardynek, i opluła szybę. Chłopiec ruchem, który tradycyjnie można by nazwać bezmyślnym, rozcierał przez chwilę palcem ślinę na szybie, a potem odwrócił się szybko do dziewczyny. Odszedłem, gdyż nie lubię zbyt długo patrzeć na całujące się pary) i znowu „uderzyło” mnie podobieństwo ruchów tego człowieka do zachowywania się psa, gdy ten obwąchuje nieznanomych (było to o wiele naturalniejsze przy czytaniu tytułów wyłożonych za szybą księgarni niż przy oglądaniu puszek, torebek i słoików).

Mała wyprostowała się, popatrzyła chwilę na swój rysunek i odwróciła się do mnie.

— To jesteś ty — powiedziała.

— Dziękuję.

— Ala ma kota.

— A Jaś coś innego.

— Skąd pan wie?

— Znam Jasia. Już bardzo dawno go znam i wiem, że Ala ma kota, ale Jaś coś innego.  
— Kto to jest Jaś?  
— Chłopiec.  
— A to jest pan — wskazała na rysunek. I po chwili wolno go rozmazując pantofelkami: — a teraz już pana nie ma.  
— Mogłabyś umyć swój pysk — powiedziałem patrząc, jak niknie pod jej stopą rysunek, identyczny z poprzednim.  
— Umyję swój pysk — odpowiedziała. — A która teraz godzina?  
— Dziewięć po trzeciej.  
— Czy aby na pewno ?  
— Umyjesz?  
— Umyję.  
— To na pewno dziewięć po trzeciej.  
— Dziękuję. Już cię starałam.

Nie odpowiedziałem, patrzyłem na mężczyznę w szarym ubraniu, jak maże po szybie wystawowej, powoli, jakby coś rozcierał, nagle odwrócił się, przed nim stał drugi tak samo ubrany człowiek i właśnie chował rękę do kieszeni, tę samą, którą przed momentem klepnął tamtego po ramieniu, a może tylko dotknął. Stanęli blisko siebie (patrząc z mojego punktu mogło się to wydać uściskiem) i stali tak przez kilkanaście sekund; gdy ten drugi odchodził, zauważyłem, że trzyma w ręku zapalonego papierosa, a człowiek sprzed wystawy chowa zapalki albo inny mały przedmiot do kieszeni. Patrzyłem teraz z powrotem na małą, rysującą z równą powagą co przedtem ten sam patykowaty wizerunek.

Powąchałem swoje dłonie; zapach morwy i gnijącej trawy — chociaż to zbyt literackie skojarzenie — wzmocnił się; opuściłem ręce wzdłuż ciała i zrobiłem kilka ruchów ramionami wydymając przy tym klatkę piersiową; pozorując gimnastykę podniosłem głowę do góry. W tynku kamienicy, przed którą stałem, były wyrwy pochodzące prawdopodobnie od pocisków karabinowych.

Wyobraziłem sobie moją głowę, gdyby się znajdowała w czasie strzelania na miejscu dekoracyjnej dziury (obnażona cegła, przyprószona nieco kurzem, była owym kawałkiem „szlachetnej” czerwieni, jaką niekiedy znajduje się na starych obrazach i nad którą kobiety, mające już dawno za sobą klimakterium, znacząco cmokają), a wyobrażenie to przyszło mi o tyle łatwo, że niedawno widziałem kobietę potrącaną przez samochód; mózg oblepiał jej tlenione włosy.

Śmiałem się głośno i długo (kilka kobiet wchodzących do sklepu zatrzymało na mnie swój wzrok trochę dłużej, niż to przyjęte), gdyż (nie wiem, ile czasu to trwało) przez chwilę naprawdę byłem rozwalony kulą karabinową, miałem wnętrzności czaszki wijące się na włosach i nagle (mężczyzna w szarym ubraniu zaczął wtedy spacerować) zdałem sobie sprawę, że stoję na rozstawionych nogach, na których mam zakurzone buty; przejście wydało mi się absurdałne i śmiałem się — chociaż nie był to śmiech wyzwolenia — (mężczyzna spacerował z precyzją maszyny) do chwili, aż zaciekawione kobiety weszły do sklepu. Oblizując słone wargi wiedziałem, że w spojrzeniu tych kobiet, w ich twarzach było zaciekawienie, jakim nasi przodkowie obdarzali linoskoczków i innych komediantów i poczułem się jak kuglarz, który wie, że jeden z jego numerów jest wprawdzie dobry, lecz zbyt reżyserowany.

Głośnik znów się odezwał (nie zauważyłem przerwy w nadawaniu muzyki; być może dlatego, że po jazzie zagrano walczyka), była to polka albo coś podobnego; mała wsadziła kredę do kieszeni i nie spiesząc się, zaczęła podskakiwać, najpierw wolno, potem coraz szybciej (niezdarna zabawka mechaniczna) oddalając się ode mnie, metr po metrze, aż (patrzyła cały czas na mnie) zniknęła za narożnym budynkiem. Zostawiła po sobie kredowego ludka narysowanego na miejscu dwóch poprzednich.

Teraz, kiedy zgiełkliwa muzyka wypełniła ten skrawek ulicy, dopiero teraz słyszałem wyraźnie zgrzyty tramwajów przy hamowaniu, pisk opon samochodowych na zakręcie (tak piszczał tylko nowe opony), terkot silników ropnych, tyle innych głosów ulicy (ta sama banalna terminologia wytworzyła się przy opisach miasta, co miejsc egzotycznych; głosy ulicy równają się głosom dżungli), których nie słyszałem przedtem, we względnej ciszy, a które teraz, na zasadzie sprzeciwu wobec siekierkowej muzyki, starałem się usłyszeć i zapamiętać.

I cisza.

Mężczyzna w szarym ubraniu też się zatrzymał. Wyjął z kieszeni papierosa (poznałem to po ruchu; zapalił. Dalej jednak nie widziałem jego twarzy) i stał nieruchomy; spokojny, pionowy akcent wśród spieszących się ludzi.

Ocierając pot z czoła przedramieniem, poszedłem w kierunku budki automatu telefonicznego.

## ROZDZIAŁ DRUGI

*Godzina 15 min. 14*

Wchodząc do budki telefonicznej, znalazłem się w rozgrzanym przez wiele godzin powietrzu, duszącym, o zapachu farby, (widocznie nikt nie telefonował przy otwartych drzwiach) i przez moment doświadczyłem tego samego uczucia, jak w ów pamiętny dla mnie dzień, gdy będąc dzieckiem, poszedłem pierwszy raz do parówki zaprowadzony tam przez starszych kolegów (do dziś uśmiecham się na myśl, co by powiedziały kochające mnie kobiety: ciotki i babka, gdyby wówczas się dowiedziały, iż ich troskliwie pielęgnowany chłopaczek odważył się na czyn tak nierozważny, a przez to zgubny dla zdrowia) i nagle znalazłem się w duszącej parze, z której wychylały się białe, jakby namaszczone tłuszczem ciała, by poddać się radosnej torturze strumienia lodowatej wody; trzymałem wtedy w zaciśniętej dłoni kawałek bursztynu z zasklepioną w nim muszką, który dostałem na dużej pauzie za bułkę z szynką, i tak ciesząc się ze świeżego nabytku wniosłem go ze sobą w zaciśniętej garści do tej komnaty wykładanej kafelkami, gdzie wdychało się parę podobną w smaku do kłującej waty, i w pewnym momencie, gdy zdawało mi się, że nie potrafię nią dłużej oddychać, pomyślałem (jak dokładnie pamiętam owo pocieszające olśnienie!), że jestem podobny do muszki otoczonej przez bursztyn, i natychmiast poczułem się lepiej. Tego samego uczucia doznałem teraz, wchodząc w graniastosłup rozgrzanego, duszącego powietrza; targnęło mną przerażenie, potem zacząłem wdychać chłodniejsze powietrze, które napływało przez uchylone drzwi podtrzymywane moją stopą.

Nakręciłem tak dobrze mi znany sześciocyfrowy numer i stałem wsłuchując się w równy brzęczek telefonu, patrząc przez szyby budki na oszklony kiosk przystanku tramwajowego, z zegarem i reklamą teatru, tak, ten sam słup co wtedy, gdy telefonowałem w jesienne popołudnie do Joanny, drżąc po nieprzespanej nocy, z obrzękłą twarzą i spieczonymi wargami. Telefonowałem z tego samego automatu, tuż obok sklepu z serami, i żądałem od Joanny, by natychmiast przysłała na miejsce naszych stałych spotkań, „pamiętaj, czekam pod sklepem z serami” — mówiłem z żarliwością modlącego się dwunastolatka proszącego Matkę Boską o dobry stopień z algebry, „pamiętaj, czekam pod sklepem z serami, zaraz przyjdź”.

Wyszedłem potem z automatu tak samo osłabiony jak po pierwszej bytności w łaźni parowej, mimo że powietrze było chłodne i nad miastem ciążyło niebo jak wielki, ołowiany dysk. Pod sklepem z serami czekał Robert; tego dnia byłem już u niego, siedziałem na tapczanie w jasnym pokoju i mówiłem patrząc na stertę płyt leżącą obok adaptera, mówiłem długo i bezbarwnie, że trzeba by dzisiaj coś zrobić, że trzeba by, że taki dzień i w ogóle. Teraz oto czeka na mnie, patrząc na kobiety swoimi blisko osadzonymi oczyma o

połyskujących sino białkach, blady, ja idę ku niemu szurając po chodniku butami, zmęczony i drżący. Zatrzymuję się i wtedy przechodzi obok nas wysoka brunetka, idzie z gracją stawiając stopy i już Robert ze spojrzeniem utkwionym w jej kształtne łydki (rytuał „podrywaczy”, tych prawdziwych, jest równie surowy jak jakikolwiek rytuał kościelny, mimo iż nikt o nim nigdy nie wspomina, a niektórzy z nich nawet nie zdają sobie sprawy z jego istnienia) idzie za nią, zrównując się lekko skłania głowę. Kobieta przystaje i patrzy na twarz Roberta, a ten wpatruje się w nią swymi blisko osadzonymi oczyma, a ja, pomimo swego rozdygotania, uśmiecham się widząc, jak ta dojrzała, prawdopodobnie dwudziestokilkuletnia kobieta rumieni się, później gwałtownym ruchem ściąga rękawiczkę i podaje dłoń memu znajomemu.

— Tak — mówi Robert — chciałem panią poznać. Chciałem bardzo panią poznać i pani o tym wie tak samo dobrze jak ja.

Powiedział to głosem, który starsze kobiety określają jako aksamitny, a który w rzeczywistości jest niskim głosem mężczyzny wyznającego kobiecie swe pożądanie, głosem dającym się niekiedy słyszeć u dobrych śpiewaków swingowych.

— Ma pani na imię...

— Lucyna — podaje kobieta.

— Lucyno, twój telefon...

Kobieta podaje numer.

— Będę dzwonił wieczorem. Mam zwykłą prośbę, to nie jest nic wielkiego. Nim zadzwonię, pomyśl sobie o mnie. Obojętne jak, dobrze czy źle, ale pomyśl... Ja będę o tobie myślał na pewno. Do widzenia, Lucyno...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI